

Wanda Barciszewska

Niebezpieczne historie : moja działalność kurierska

Palestra 27/8(308), 66-72

1983

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WANDA BARCISZEWSKA

Niebezpieczne historie (Moja działalność kurierska)

W połowie października 1939 r. dobiłam do Budapesztu. Zorganizowany Komitet Pomocy Uchodźcom wyciągał osoby cywilne do pracy, do której zgłosiła się moja matka i rozpoczęła urzędowania na Calvin ter 8. Ja natomiast udałam się do polskiego konsulatu, poszukiwano bowiem osoby znającej język węgierski. Przyjął mnie pełen uroku konsul Zarański i uznał, że mogę być pomocna w jego pracy, a mianowicie w kontaktach z tworzonymi przez Węgrów obozami wojskowymi dla polskich żołnierzy i oficerów. Rozpoczął się zorganizowany przerzut internowanych do tworzącej się armii polskiej we Francji. Wyjeżdżałam więc pod wskazane adresy z plikami przygotowanych dokumentów i przekazywałam je polskiemu komentantowi obozu. Początkowo akcja ta nie napotykała szczególnych trudności. Z obozu zabierałam dokumenty internowanych, oddawałam konsulowi Zarańskiemu; w konsulacie przygotowywano odpowiednie dowody, które wracały do obozu. Nadeszła zima, zima 100-lecia, jak mówili Węgrzy, którzy takich zasnętych w Budapeszcie nie pamiętali. Warunki przerzutu stawały się coraz cięższe, a wyjeżdżających było coraz więcej, jak również coraz więcej ludzi przybywało z Polski przez tzw. zieloną granicę.

Wielu internowanych podchorążych i oficerów, oczekujących w obozach na przyjazd łącznika czy łączniczki, nie mogąc doczekać się terminu ich przerzutu, przyjeżdżali na własną rękę do Budapesztu, zgłaszając się do jeszcze istniejącej wtedy ambasady polskiej czy konsulatu z żądaniem przerzucenia ich przez Jugosławię do Francji. Dr Wawrzyniak, rodem z Poznania, przeprowadzał badania stanu zdrowia, a jego decyzje były wiążące. Każdy chciał być bardzo zdrowy, każdy rwał się do polskiej armii, każdy chciał walczyć — obojętnie na jakim froncie, byle jak najprędzej uwolnić kraj od okrutnego najeźdźcy.

Więści przynieszone przez uciekających z kraju były coraz tragiczniejsze: aresztowania, rozstrzeliwania, wywożenie do obozów koncentracyjnych; wśród „menc-kultów” — cywilni uchodźcy. Nie było rodziny, która by kogoś z pozostawionych bliskich nie straciła. Trzeba było myśleć o podtrzymaniu ducha wśród uchodźców. W Instytucie Kultury Polskiej, prowadzonym przez dyr. Załęskiego, tworzy się drukarnię tygodnika „Materiały Obozowe”. Tenże Instytut staje się punktem kontaktowym dla już działających kurierów. Zostaje zaangażowana do Instytutu Polskiego do pracy w redakcji „Materiałów Obozowych” pod kierownictwem Kazimierza Tychoty. Dyrektor Załęski wszczyna akcję zapisu studentów na Uniwersytet Pazmany Peter Tudomapyos Egypetem w Budapeszcie. Dostępne kierunki dla polskich studentów to filologia sławistyczna, germańska i romańska, medycyna, chemia, farmacja. Politechnika budapeszteńska i wydział prawa dla kobiet niedostępny. Zapisuję się więc na filologię, trzeba bowiem mieć dokumenty, które w akcji nie będą budziły wątpliwości w razie zatrzymania przez władze węgierskie.

W połowie stycznia 1940 r. w Instytucie zjawia się akompaniator Jana Kiepurę Stanisław Ursztajn, przedstawiając się nazwiskiem Urski, z planem utworzenia teatru. W ścisłej już rozmowie ze mną wyjaśnia, że działa w porozumieniu z Polskim Komitetem oraz władzami konsulatu. Zapadła decyzja utworzenia takiego teatru, przy czym ród męski reprezentowany jest przez barytona opery lwowskiej Łobasiewicza, tenora opery poznańskiej Witolda Łuczyńskiego, tancerzy opery warszawskiej Żadejkę i Salomonowskiego, aktorów teatru warszawskiego J. Ni-

wińskiego i Gielniewskiego. Brak natomiast aktorki do obsady ról kobiecych i właśnie na mnie zwrócono uwagę ze względu na mój udział w akademii 11-listopadowej i innych wieczorach kulturalnych, już wcześniej organizowanych w YMCA dla uchodźców.

Gdy wyraziłam zgodę, Urski wraz z konsulem Zarańskim wyjaśnili mi szerszą działalność teatru, która była związana z nową formą przetrwania na zachód internowanej polskiej armii.

Zostałam więc aktorką w całym tego słowa znaczeniu. Zbyszek Grotowski pisał scenariusze, dowcipne skecze czy też jedno- lub dwuaktówki, pełne dramatycznych napięć i patriotyzmu. Zadejko i Salomonowski uczyli tanecznych kroków, a Ursztajn akompaniował mi, gdy deklamowałam wiersze Wierzyńskiego, Norwida, Kasprowicza i innych poetów.

Premiery miały miejsce oczywiście w Budapeszcie, a następnie z ocenizowanym programem teatr jechał w teren, przede wszystkim do obozów wojskowych, nie omijając również obozów cywilnych uchodźców. Witano nas wszędzie z szalonym entuzjazmem nie tylko dlatego, że ludzie byli zlaknieni słowa polskiego, polskiej pieśni, ale szła już fama, że z teatrem nad ranem obóz opuszczało zawsze kilkudziesięciu oficerów czy żołnierzy. Przepadałi jak kamfora. Biedny komendant węgierski z drzeniem w głosie witał nasz teatr, a przy kolacji po spektaklu błagalnie patrzył w nasze twarze i po kilku kieliszkach wina prosił, żeby zbyt dużego manka nie miał następnego dnia w stanie ludzi w obozie.

Przed świętami wielkanocnymi 1940 r. teatr jeździł ze zdwojoną energią, gdyż na wiosnę miano sporo ludzi przetrzucić przez Drawę czy Sawę na stronę jugosłowiańską. Trzeba było podać punkty kontaktowe i wskazać marszrutę. Aktorzy teatru, korzystając z poczęstunku komendanta węgierskiego obozu, spijali wino, ja natomiast z oficerem kontaktowym przekazywałam decyzję i dyspozycje. W jednym z obozów, gdy późną nocą wyjeżdżaliśmy, zjawił się oprzytomiały węgierski komendant obozu i prosił nas, by wraz z nami tej nocy nikt nie uciekał, bo on miałby szczególne nieprzyjemności. Nie można było mu zrobić przykrości, a młodzi ludzie musieli odczekać kilka dni; wracaliśmy z najdalej położonego obozu w bok od Balatonu do Budapesztu i „zgłosiliśmy się po nich niby po rzekomo pozostawione kostiumy”.

W „Wieściach Polskich” pisano o teatrze szerokie recenzje, a mnie sprawozdawca nazywał młodą, wybitną, utalentowaną aktorką. Nie tyle o tę rolę aktorki chodziło, ile o załatwienie spraw, by jak najwięcej ludzi mogło wydostać się na Zachód.

Padła Francja. Wówczas zmieniono marszrutę, ale ciągle jeszcze przez Jugosławię, tylko że na południe przez Turcję do II Korpusu w Afryce. Tą drogą szli już maturzyści z Balaton-Boglar w sierpniu 1940 r. — grupa z moim bratem na czele. To on przyjechał do mnie po instrukcję nie wiedząc, że od własnej siostry je otrzyma. Zginął pod Tobrukiem 4.X.1941 r. w dywizjonie podkarpackim.

Potem z teatru (wyjechali Zadejko, Salomonowski i inni. Tymczasem Halszka Olszaniecka (Olszańska) zaczęła tworzyć oddział kobiecy AK. Już wcześniej byłam w ZWZ, potem byłam łączniczką płka Korcozowicza, który mieszkał w Pesthidegkut w obozie internowanych. Mieszkał tam adwokat Bardzik, pseudonim „Stanisław Lubelski”. Zginął w obozie koncentracyjnym Flossenbürg. Był delegatem S.N. na Węgry. Od nich przewoziłam informacje do obozów.

W tym czasie w Instytucie Kultury Polskiej (Lengyel Kultur Intezet) wre praca. Prócz „Materiałów Obozowych” drukuje się książki dla polskiej szkoły początkowo w Balaton-Boglar, następnie w Balaton-Zamardi. Jednocześnie przychodzą regularnie kurierzy. Jedni to kurierzy „Bazy”, którą kieruje p. Fitz, pseudonim

„Fietowicz”, grupujący wokół siebie ludowców. Inni kurierzy to kurierzy „Placówki”, kierowanej przez K. Tychotę.

Pewnego dnia zjawia się w Instytucie Kultury mój kolega szkolny Zygmunt Graetzer, któremu cudem udało się uciec z okupowanej Bydgoszczy. Szczytem marzeń człowieka dwudziestoparoletniego jest zostać łącznikiem, być kurierem na kraj, by — jak mi wyjaśnia — okupić niecny czyn kogoś z bliskiej rodziny, kto ze względu na sytuację przyjął volkslistę. Zygmunt zostaje kurierem pod pseudonimem „Zygmunt Kolski”. Jest w grupie takich już wytrawnych kurierów jak Mietek Nawrót i Zygmunt Nowakowski, przeze mnie zwany „Grubym”. Ta trójka moich najserdeczniejszych przyjaciół, którzy w skrytości po przyjeździe z kraju zawsze zapewniają mnie, że powrót do kraju to już będzie za mną. Niestety, nie ma na to decyzji mojego szefa z „Placówki” ani też delegata S.N. adw. Bardzika (pseudonim „Stanisław Lubelski”).

Wreszcie zapada decyzja i zostaje przerwana, ale moja droga biegnie do Poznania. Cała droga nie była taka niebezpieczna, albowiem zostałam wyposażona w odpowiednie niemieckie dokumenty. Po załatwieniu spraw w punkcie kontaktowym w Poznaniu, postanowiłam jednak nie wracać od razu przez Wiedeń do Budapesztu. Niedaleko Poznania, bo w Wolsztynie, był stalag XXI A, w którym jeńcem wojennym był mój ojciec. Postanowiłam rannym pociągami udać się do Wolsztyna i dostać się do stalagu, uprzednio dowiedziawszy się w Poznaniu, że można otrzymać zezwolenie na widzenie z jeńcem wojennym, ale trzeba mieć dokumenty, które nie mogą wzbudzać podejrzeń Niemców. Pamiętam dokładnie, że był to piątek, wiosna 1942 r. W pociągu z bijącym sercem przygotowywałam się do rozmowy z komendantem tego stalagu i doszłam do wniosku, że będę udawała była pacjentką mojego ojca, przybywającą zasięgnąć jego rady po operacji dokonanej przez niego w 1939 r. w Bydgoszczy.

Doszłam do obozu jeńców. Z maksimum odwagi, na jaką mogłam się zdobyć, weszłam do baraku, w którym, jak poinformował mnie żołnierz stojący na warcie, mieściła się kancelaria. Nikt nie żądał ode mnie okazania żadnego dokumentu, na pewno decydowała pewność siebie i tupet, z jakim weszłam, i bezbłędną niemczyzną zażądałam rozmowy z komendantem obozu. Po pół godzinie zjawił się wysoki Niemiec w mundurze *Wehrmachtu*. Krótko wyjaśniłam cel mego przybycia i prośbę konsultacji z drem Dziembowskim, jeńcem tego obozu. Opatrzność chyba spowodowała, że nogi miałam straszliwie popuchnięte, czym prędzej wskazałam na nie i wyjaśniłam, że od pewnego czasu takie właśnie miewam objawy, a moi lekarze są bezradni. Oficer *Wehrmachtu* błyskawicznym wzrokiem obrzucił moją postać — jasna blondynka, o niebieskich oczach nie budziła w nim wątpliwości, że może to być wyłącznie Niemka, a takiej trzeba jednak pomóc. Wyjaśnił, że zabiorą mnie dwaj żołnierze do sąsiedniego baraku, do którego zostanie doprowadzony jeńiec, ale rozmowa nie może przekroczyć 20 minut.

Serce waliło mi jak młotem. Wprowadzona zostałam do jakiejś izby barakowej, przysiadłam na krzeselku i oczy wlepiłam w drzwi, modląc się, by mój ojciec, widząc własne, ukochane dziecko, nie uczynił jakiegoś ruchu czy nie zachował się w sposób, który mógłby rzucić cień podejrzeń. Minuty wydawały się godzinami, gdy nagle drzwi się otworzyły i weszło znowu dwu żołnierzy *Wehrmachtu*, a z nimi w mundurze oficera Wojska Polskiego wszedł mój ojciec. Siadając i nie podnosząc się, pierwsza dumnie powitałam go jako mojego lekarza, przypominając rzekomą operację. Mój ojciec stał, patrzył i wolno powiedział, że przypomina sobie mnie, że pamięta operację, która była dla niego bardzo ciekawa, i zaczął zadawać mi pytania co do stanu zdrowia. Poczęstował niemiaszków

angielskimi papierosami. Jak się okazało, stalag XXI A był stalagiem, w którym mieścił się szpital. Jako jeńiec wojenny mój ojciec, znający kilka języków, pełnił funkcję lekarza. W stalagu tym było sporo Anglików, Francuzów, Norwegów. Stąd też mój ojciec współpracował z podziemiem norweskim i ich wywiadem, za co po śmierci został odznaczony przez króla Haakona VI „Frihetskorssem”. Był jedynym Polakiem posiadającym tak wysokie wojenne odznaczenie norweskie („Nie umarłeś zapomniany” — to książka, której autorem jest red. Wilczur; ukazała się w 1970 r., mówi między innymi właśnie o moim ojcu).

Po upływie 20 minut żołnierze oświadczyli, że to koniec widzenia, ale że mogę starać się jeszcze jutro o krótką rozmowę, skoro nie otrzymałam jeszcze wszystkich wskazówek dotyczących dalszego leczenia. Skinęłam głową mojemu ojcu, któremu w tym momencie drgały usta, i usłyszałam, jak powiedział: „Andrzej zginął, była msza żałobna w Warszawie”. Kiwnęłam głową. Brat mój zginął pod Tobrukiem 4.X.1941 r. w wieku 18 lat jako kanonier w Dywizjonie Podkarpackim.

Skąd się dowiedział? Prawdę znałam tylko ja, nawet mojej matce wyjaśniono, że była to mylna informacja, która z Londynu w listopadzie 1941 r. do Budapesztu. Dlatego biedna mama do swojej śmierci ciągle czekała powrotu mego brata... Tak sugestywnie wyjaśniono jej w Budapeszcie rzekomą pomyłkę w przekazanej z rządu londyńskiego informacji o jego śmierci. Nie wiedziałam, że ojciec był związany z działalnością podziemną współjeńców innych narodowości, którzy otrzymywali stałe informacje różnymi drogami.

Odprowadził mnie do bramy znowu inny żołnierz. Gdy minęłam obóz, poszłam prędko w kierunku dworca, gdy nagle za sobą usłyszałam głos kobiety, która mówiła dosłyszalnym przeze mnie półszepem: „Proszę się nie bać, ja panienkę znam” (tu padło moje prawdziwe nazwisko). Zdrętwiałam. Przyspieszyłam kroku, nie odwracając się. Potem padło nazwisko przyjaciół moich rodziców, ziemian z niedalekiej okolicy. Owa osoba mówiła dalej: „Proszę mnie przepuścić, ja będę szła pierwsza. Proszę się nie bać, dam schronienie na dzisiejszą noc”.

Doszłam do wniosku, że trzeba zawierzyć. Zresztą nie było innego wyjścia. Zostałam doprowadzona na dalekie przedmieście Wolsztyna. Jakaś chałupina z poddaszem. Zaprowadzono mnie na owo poddasze. Kobieta ta sprzątała baraki kancelarii obozu, a przed wojną była panną służącą w jednym z majątków ziemskich.

Późnym wieczorem na tymże poddaszu zebrało się kilkunastu Polaków — kobiety, mężczyźni. Prawie do rana mówiłam im, co się dzieje na Zachodzie, że muszą się trzymać, że przyjdą jeszcze trudne chwile, ale zwyciężymy. Karmiono mnie, pamiętam, upieczoną kurą i jajkami. Chcieli oddać wszystko, bylebym się dobrze czuła, bezpiecznie. Instruowali, jak dnia następnego, to jest w sobotę, należy pójść jeszcze raz do obozu. Będzie inny oficer *Wehrmachtu*, a tym samym mogę na pewno dostać nowe widzenie, nie wspominając o dzisiejszym. Rano powędrowałam prowadzona znowu przez moją opiekunkę do obozu. Bez trudu dostałam zezwolenie na widzenie.

Tym razem mój ojciec wkroczył z czekoladą, papierosami i angielskim ręcznikiem, wyjaśniając mi przy wręczeniu, że to koledzy Anglicy obdarowali jego pacjentkę tymi prezentami. Wyjaśnił mi, że mówił im po apelu w baraku o spotkaniu, które było dla niego niebywałym przeżyciem, bo przypominało mu lata przedwojenne. Wszystko, co mówił, było takie wyważone, rozumne — obydwójce zrozumieliliśmy, że każde z nas jest zaangażowane w pracy konspiracyjnej.

Niestety, widzenie było bardzo krótkie. Wyprowadzono mnie pierwszą; gdy stałam już za drutami, widziałam jak szedł przygarbiony, prowadzony przez tych dwu żołnierzy. Już się nie obejrzał, zabrakło mu siły. To było ostatnie spotkanie

z moim ojcem. Poszłam na dworzec i wracałam najpierw do Wiednia, do naszego punktu. Po kilku dniach byłam w Budapeszcie, wysyłając zaraz list na blankiecie oflagowskim do ojca, aby wiedział, że wróciłam do matki.

Bytności w Wiedniu bywały częste. Miałam tam punkt kontaktowy w mieszkaniu pewnej arystokratki wiedeńskiej. Po wojnie, o dziwo, nigdy nie mogłam trafić pod ten adres, a było to tak niedaleko Stephans Dom. Tu pamięć zawiodła.

Nie mogę pominąć w tym krótkim wspomnieniu z czasów okupacji moich powiązań z grupą p. Sławy Wendowej, tzw. pilsudczyków. Z drugiej strony p. Janas proponował współpracę z nim. Mnie, młodej dziewczynie, obce były wówczas programy polityczne poszczególnych stronnictw. Moim celem była walka z okupantem. Nie dorosłam wówczas do oceny stronnictw politycznych, uważałam, że każde z tych stronnictw miało przede wszystkim na celu walkę z Niemcami. Byłam już przeciwieństwem w oddziałach AK grupa C Węgry. A kontakty z księdzem Miodońskim i innymi pozwalały służyć krajowi, gdzie tylko mnie potrzebowano. Dużo zwłaszcza dały mi kontakty z p. Sławą Wendową, z którą łączyły mnie szczerze więzy przyjaźni; również piękna żona adiutanta Rydza-Śmigłego kontaktowała się ze mną. Właśnie dzięki tym kontaktom zostałam zaproszona do p. Sławy na przyjęcie do jej mieszkania, które zajmowała wraz ze swą matką, pełną uroku starszą panią. Był to dzień przetrzucenia Rydza-Śmigłego do Budapesztu. Zebrani licznie b. dygnitarze wojskowi oczekiwali przybycia Rydza, który następnego dnia miał być przetrzucony do Polski. Rydz-Śmigły przybył w towarzystwie między innymi b. wiceministra komunikacji Piaseckiego. Gdy wszedł do mieszkania Sławy, miał narzuconą pelerynę. Była to chwila dużego wzruszenia, niemniej jednak miały mną sprzeczne uczucia. Oto wszedł mój uwielbiany przed wojną marszałek, do którego we wrześnie straciłam nie tylko wszystkie uczucia sympatii, ale zrodził się bunt przeciwko jego postawie wodza, który porzucił wojsko i uciekł do Rumunii, pozostawiając armię bez naczelnego dowództwa. Stałam więc pełna buntu i krytyki na końcu w szeregu witających go gości. Nie mógł biedny marszałek Rydz nie zauważyć moich wrogich spojrzeń, których nie byłam w stanie pokryć uśmiechem. Przystanął i zapytał mnie, dlaczego z taką niechęcią, niemal wrogością, witam go. Powiedziałam bez ogródek to, co czułam. Poglądził mnie po włosach i powiedział do mnie (cytuje niemal dosłownie): „Historia mnie oceni, dzisiaj za wcześniej (...), ale wiedz Mała, ja jadę do kraju i będę tam walczył, by okupić swój czyn (...)”. Następnego dnia po tej wizycie został przetrzucony do Polski. Już wówczas był chory, jak mówiła mi pani Sława. Umarł w kraju, nie mogąc z bronią w rękę walczyć z okupantem. Na jego grobie, grobie ZAWISZY, na Powązkach spotykałam się w Dzień Zaduszny z panią Sławą, która do śmierci była mu zawsze wierna.

Do ciekawszych zadań moich należało również wyjeżdżanie na samą granicę węgierską po kurierów, ale tylko wówczas, gdy przydarzyło im się nieszczęście w postaci przyłapania ich przez policję węgierską, tzn. „kogutów”. Owi stróże bezpieczeństwa, ubrani w duże czako przyzdobione piórami z kogucich ogonów, przypominali aktorów z wesołej operetki, chociaż byli nieraz groźni. Biedny kurier przyłapany przez straż graniczną wędrował do aresztu. Gdy udawało mu się zawiadomić nas w Budapeszcie, wsiadałam w pociąg i jechałam wyjaśniać owym „kogutom”, że to właśnie mój ukochany narzeczony został przez nich chyba przez pomyłkę osadzony w areszcie. Zygmunt Szeruda (Rosiński) opisuje w swojej książce „Niebezpieczne historie”, jak to on właśnie w okresie, niestety, zbyt krótkim dwukrotnie miał pecha na samej granicy. Pech ten notabene prześladował go stale, bo przy pierwszej wpadce wyciągałam go z tego posterunku jako ukocha-

nego narzeczonego, a za drugim razem coś widać pomyliłam, bo przyjechałam po ukochanego brata i ten sam Rendor (policjant) miał przyjemność ze mną prowadzić rozmowę, wykazując mi z uśmiechem, że muszę się zdecydować, czy krewnego szukam, czy narzeczonego, bo ta sama osoba nie może być raz braciszkiem a raz najukochańszym chłopakiem. Skończyło się na kilku butelkach wina. Ale był to rok 1942, później było, niestety, coraz ostrzej. Zawsze jednak udawało się przekonać komendanta posterunku i wyjechać triumfalnie do Budapesztu, nie pozostawiając na miejscu żadnych dowodów, które świadczyłyby, kim są naprawdę owi młodzi ludzie. Dlatego kurierzy nazywali mnie swoim breloczkiem szczęścia, a dawane na drogę talizmany nosili w kieszonkach uważając, że im naprawdę szczęście przynoszę.

Kiedyś brałam udział w przerzucie żony i córki pułkownika angielskiego. Niestety, wyprawa nasza nie udała się, zostaliśmy złapani na samej granicy przez Czechów. Prawdopodobnie owa wyprawa byłaby się skończyła tragicznie, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, tak że ostatecznie udało mi się uciec z rąk policji na małej stacyjce. Tę ucieczkę zawdzięczam bufetowej na tej stacyjce kolejowej. Znała ona dobrze, o dziwo, mgra Grzeszczuka, pracownika Instytutu Kultury Polskiej w Budapeszcie. Przechowała mnie, a następnie dzięki jej pomocy i jej znajomym przewieziono mnie na stronę węgierską. Do dziś nie wiem, co stało się z ową Polką, żoną Anglika, i jej córką, z którą rozdzielono mnie w czasie przewożenia z jednej miejscowości do drugiej.

Dnia 16 marca 1944 r. zawiadomił mnie minister spraw wewnętrznych Antal telefonicznie, że o 4 rano wojska niemieckie przekroczyły granicę Węgier i za parę godzin będą w Budapeszcie. Nakazał natychmiastowe opuszczenie mieszkania przy Dohany utca, zawiadomienie, kogo jeszcze uda się powiadomić, by zdążono zniszczyć dokumenty i likwidować się z oficjalnych mieszkań, bo Niemcy mają listę Polaków i przystąpią natychmiast do aresztowania. Telefonowałam przez godzinę, a potem wraz z matką uciekłam zabierając, co najpotrzebniejsze. Do mojego mieszkania jeszcze przez tydzień chodzili bohaterstwo moi koledzy, jak np. Miecio Schmiedla, i zabierali, co niezbędne, niszcząc zarazem wszystko, co mogłoby stanowić jakikolwiek podejrzany materiał dla wroga. Ukrywałam się jeszcze przez półtora miesiąca.

Rozlepiane plakaty informowały o wysokich nagrodach za wskazanie mojego adresu. Zostałam aresztowana w hotelu, którego właściciel udzielił mi schronienia. Aresztowało mnie aż 6 oficerów gestapo. Notabene dnia poprzedniego odebrałam od Mietka Nawrota i Zygmunta Nowakowskiego materiały do szyfrowania i przekazania dalej. Płaska teczka zamykana na zamek błyskawiczny leżała na krzeselku, na którym przysiadłam w koszulince, a gestapowcy szaleli rozcinając pokrycia foteli i materace w łóżku. Nic nie znaleźli. Z nietkniętą i nie otworzoną teczką wyszłam z nimi do samochodu wraz z moją matką, którą aresztowano razem ze mną. Dojechaliśmy na Fo utca do więzienia, w którym już siedzieli moi koledzy, szefowie, którym nie udało się zbiec w dniu wkroczenia Niemców lub którzy już później byli aresztowani na ulicach Budapesztu. Ustawiono nas w szeregu pod ścianą, pod którą już stało sporo Węgrów, Anglików, tego dnia również aresztowanych.

Czekałyśmy na oddanie rzeczy. Powiedziałam wówczas mojej matce, że musimy zjeść dokumenty z teczki, bo nie mogą wpaść w ręce gestapo. Strach dostarczał śliny na konsumpcję zaszyfrowanych bibułek. Najtrudniejszą konsumpcję stanowił mały kalendarzyk przyniesiony z Polski, w którym były podpisy kolegów z AK czekających na mnie w kraju. Kalendarzyk miał znaczek Polski Walczącej i tro-

chę jednak twardą okładkę. Został zjedzony bez popicia. Gdy oddałam teczkę, była zupełnie pusta. Nic nie wpadło w ręce wroga.

Nigdy mnie byłąbym wpadła w ręce gestapo, gdyby nie fakt, że zapadła decyzja, iż muszę czekać w Budapeszcie na powrót Zygmunta Szerudy (Rosińskiego), który miał wrócić z Jugosławii od Tito. Dopiero po wojnie tenże Zygmunt przysłał mi wycinki swoich artykułów opisujących dzieje nasze na Węgrzech. Rząd londyński przez Adama Meissnera przekazał mojej matce 100 tys. penga na wykupienie mnie z gestapo; pieniądze miała otrzymać Zofia Krzemieniowa. Matka zwróciła pieniądze Meissnerowej twierdząc, że wykupienie mnie z gestapo budzi wątpliwości, a pieniądze na akcję w Polsce bardziej są potrzebne. Krzemieniowa, jak się potem okazało, była agentką gestapo, za co po wojnie była sądzona w Warszawie. Meissner uważał czyn mojej matki za wyjątkowo bohaterki, straciła już syna, traciła córkę, a ona uznała, że pieniądze są potrzebne w kraju. Adam Meissner był delegatem ministra skarbu Strassburgera. Dla wyjaśnienia należy dodać, że matka moja po miesiącu została zwolniona z więzienia na skutek interwencji swojego szwagra gen. Tarnoki Urs Nandora.

Wydano wyrok na mnie, który mi odczytano: był to wyrok śmierci. O dziwo, w tydzień po tym wyroku zabrano mnie z celi i zostałam wywieziona wraz z grupą Polaków, ludzi mało zaangażowanych w podziemi, do Austrii. Byli tam: Hanka Filipkiewicz, córka malarza prof. Filipkiewicza z Krakowa, straconego w Mautausen, P. Zawoyski, obecnie prof. w Berkeley, i inni. Ich ogarnął szczyt przerażenia, gdy mnie do nich sprowadzono. Wywieziono nas do fabryki Messerschmidla III w Wollersdorf. Zaczęła się olbrzymia akcja. Rząd londyński zdecydował odbicie mnie. Zgłosił się kurier Zygmunt Gretzer, wówczas pseudonim „Kolski” (żyjący dzisiaj pod Waszyngtonem w Swanlake). Na szczęście do akcji nie doszło, kurier przespał odjazd pociągu z Wiednia do Wollersdorf-Trotzdorf, a mnie gestapo zabrało do Wiener Neustadt na przesłuchanie. Kolskiego zawiadomiono, że już mnie w obozie nie ma i siedzę w więzieniu. Przez nieomal większość więzień europejskich, gdzie wożono mnie na konfrontację, i przez obóz koncentracyjny Lancensdorf dotarłam w końcu do Ravensbrück, gdzie już nasze podziemie wiedziało, że ma się mną zająć, gdybym tutaj się zjawiła. Dzięki pomocy „Ravensbrückzanek” przeżyłam.

Przesłuchiwano mnie w takich więzieniach, jak Wiedeń, Praga, Drezno, Lipsk, Brno, Karlsbad; w Wiedniu przebywałam dwukrotnie. Największych jednak obrażeń doznałam w więzieniu w Wiener Neustadt, gdzie mnie dosłownie zmasakrowano w czasie przesłuchania, następnie trzymano w piwnicach gestapo, a po jakimś nie znanym mi czasie w nocy przewieziono do więzienia połamaną, nieprzytomną. Podaję tylko te więzienia, w których dochodziło do przesłuchań i konfrontacji z różnymi ludźmi. Nikt nigdy mnie nie rozpoznał i ja również nikogo, mimo że konfrontowano mnie z ludźmi mi znanymi.

Z Ravensbrück pojechałam transportem 2500 Polek do Szwecji, a w grudniu 1945 r. powróciłam do Polski.

JAN JACEK NIKISCH

Adwokatura wielkopolska w Ruchu Zachodnim (fragmenty)

Nie mając karty mobilizacyjnej, w dniu 1 września 1939 roku opuściłem nadgraniczny Rawicz po godz. 3⁰⁰, gdy władze ewakuowały się, a w porannej mgle